IAN RANKIN

NA KRAWĘDZI CIEMNOŚCI

Rankin przebojem wdarł się do czołówki światowego kryminału

POLITYKA

1

— Nie ma go — odparł sierżant dyżurny.

— A gdzie jest?

— Pojechał na wezwanie.

Fox przeszył go wzrokiem, wiedząc, że nie wróży to nic dobrego. Sierżant należał do starych wiarusów, którzy uważali, że wszystko już widzieli i ze wszystkim dadzą sobie radę. Fox zerknął na następne nazwisko na liście.

— A Haldane?

— Na zwolnieniu lekarskim.

— Michaelson?

— Na wyjeździe z inspektorem Scholesem.

Tony Kaye stał tuż za lewym ramieniem Foxa i Fox wiedział, co kolega powie, zanim ten zdążył otworzyć usta.

— Jaja z nas sobie robią.

Fox zgromił go wzrokiem. Wiadomość rozniesie się teraz po całym posterunku: sprawa załatwiona. Skarżypyty przyjechały, nikogo nie zastały i wkurzyły się, w dodatku publicznie. Sierżant przestąpił z nogi na nogę, próbując ukryć zadowolenie.

Fox rozejrzał się. Przypięte do ścian karteczki były czymś zupełnie normalnym. Posterunek należał do tych nowoczesnych i hol równie dobrze mógł być holem gabinetu

lekarskiego czy wydziału spraw socjalnych, pod warunkiem że ominęłoby się wzrokiem tablicę z napisem, że stan pogotowia podniesiono z NISKIEGO na UMIARKOWANY. Nie miało to nic wspólnego z Foxem i jego ludźmi: były doniesienia, że pod Lockerbie doszło do wybuchu. Pewnie jacyś gówniarze, no i gdzie Lockerbie, gdzie Kirkcaldy. Niemniej powiadomiono wszystkie posterunki w kraju.

Obok guzika na ladzie leżała karteczka z odręcznym napisem, żeby dzwonić po dyżurnego — co Fox zrobił przed trzema, czterema minutami. Na ścianie za ladą było lustro fenickie i sierżant na pewno widział, jak wchodzą, on, inspektor Malcolm Fox, sierżant Tony Kaye i posterunkowy Joe Naysmith. Komendanta uprzedzono, że przyjadą. Mieli przesłuchać inspektora Scholesa i detektywów sierżantów Haldane'a i Michaelsona.

— Myśli pan, że pierwszy raz ktoś próbuje z nami tej sztuczki? — spytał Kaye. — A może tak zaczniemy przesłuchanie od pana?

Fox przerzucił kartkę w teczce.

— A pana szef, inspektor Pitkethly?

— Szefowa. Jeszcze jej nie ma.

Kaye wymownym gestem podniósł rękę i spojrzał na zegarek.

— Ma spotkanie na komendzie — wyjaśnił sierżant.

Naysmitha, który stał po prawej stronie Foxa, bardziej interesowały ulotki na ladzie. Demonstrował w ten sposób spokojną pewność siebie, przekonanie, że przesłuchają ich tak czy inaczej, że taktyka opóźniająca nie jest dla Skarg niczym nowym — bardzo się to Foxowi podobało.

Skargi: nazwa była już nieaktualna, chociaż on i członkowie jego zespołu często jej używali, przynajmniej między sobą. Do niedawna nazywali się oficjalnie Wydziałem Skarg i Dyscypliny. Teraz mieli być Wydziałem Etyki i Standardów Zawodowych. A za rok pewnie czymś innym; zastanawiano

się nad Wydziałem Standardów i Wartości, chociaż nazwa ta nikomu się nie podobała. Pracowali po prostu w Skargach, byli gliniarzami, którzy patrzą na ręce innym gliniarzom. Dlatego ci inni nigdy nie cieszyli się na ich widok.

I rzadko kiedy chętnie z nimi współpracowali.

— Na komendzie, czyli w Glenrothes? — upewnił się Fox.

— Zgadza się.

— Ile się tam jedzie? Dwadzieścia minut?

— Chyba że się zgubicie.

Zadzwonił telefon na ladzie.

— Zawsze możecie zaczekać. — Sierżant odwrócił się, odebrał i stojąc tyłem do Foxa, wdał się w przyciszoną rozmowę.

Joe Naysmith trzymał w ręku broszurę o bezpieczeństwie wewnętrznym. Opadł na krzesło pod oknem i zaczął czytać. Fox i Kaye wymienili spojrzenia.

— Co ty na to? — spytał w końcu Kaye. — Pozwiedzamy? Całe miasto jest nasze...

Kirkcaldy: nadmorskie miasteczko w hrabstwie Fife. Kaye przywiózł ich samochodem z Edynburga. Jechali czterdzieści minut, głównie zewnętrznym pasem. Minąwszy Forth Road Bridge*, wymienili kilka uwag na temat długiego sznura pojazdów, które wraz z początkiem kolejnego dnia pracy zmierzały w przeciwną stronę, do stolicy.

— Jadą, żeby zabrać nam pracę — zażartował Kaye, wciskając klakson i machając ręką.

Najlepiej wprowadzonym w miejscowe realia okazał się Naysmith.

— Linoleum — powiedział. — Kirkcaldy kiedyś z tego słynęło. I z Adama Smitha.

---

* Wiszący most drogowy nad zatoką Firth of Forth w środkowowschodniej Szkocji. Łączy Edynburg z North Queensferry w hrabstwie Fife.

— Gdzie grał? — spytał Kaye.

— Był ekonomistą.

— A Gordon Brown*? — rzucił Fox.

— Kirkcaldy. — Naysmith potwierdził to skinieniem głowy.

A teraz, stojąc przed ladą oficera dyżurnego, Fox zastanawiał się, co robić. Mogli tu siedzieć, czekać i coraz bardziej się wkurzać. Albo mógł zadzwonić do Edynburga i poskarżyć się szefowi. Szef przekręciłby na komendę w Fife i w końcu coś by się zaczęło dziać, ale Fox wyszedłby wtedy na małego chłopca, który biegnie do tatusia, ilekroć jego większy kolega zrobi coś nie tak.

Albo...

Fox spojrzał na Kaye'a. Kaye uśmiechnął się i wierzchem dłoni trzepnął broszurę w ręku Naysmitha.

— Wkładaj hełm, młodzieńcze — rzucił. — Dzicz czeka.

. . .

Zaparkowali na nabrzeżu i stali przez chwilę, patrząc na zatokę w kierunku Edynburga.

— Słońce tam chyba mają — mruknął Kaye, zapinając palto. — A ty znowu w tej kurteczce, pewnie teraz żałujesz.

Joe Naysmith zdążył się już uodpornić na komentarze na temat swego ostatniego designerskiego nabytku, mimo to postawił kołnierz. Znad Morza Północnego wiał silny wiatr. Woda była wzburzona, a kałuże na promenadzie świadczyły o tym, że fale przelewają się czasem przez falochron. Mewy z trudem utrzymywały się w powietrzu. Nabrzeże zaprojektowano w dziwny sposób, prawie zupełnie go nie wykorzystując. Niemal wszystkie domy stały tyłem do morza i przodem do centrum miasta. Fox zauważył, że jest tak w

---

* Premier Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej od 27 czerwca 2007 do 11 maja 2010 roku.

całej Szkocji: od Fort William po Dundee, architekci zdawali się zaprzeczać istnieniu wybrzeża. Nie mógł tego zrozumieć, ale wątpił, żeby Kaye czy Naysmith mogli mu pomóc.

Joe zaproponował spacer po plaży, ale Tony szedł już w stronę ścieżek na wzgórze, w kierunku sklepów i kafejek, i to Naysmith musiał wygrzebać z kieszeni osiemdziesiąt pięć pensów na parking. Na wąskiej głównej ulicy trwały roboty drogowe. Kaye przeszedł na drugą stronę i zaczął piąć się na skarpę.

— Gdzie on lezie? — jęknął Naysmith.

— Tony ma nosa — odparł Fox. — Pierwsza z brzegu stara knajpka go nie zadowoli.

Kaye stanął pod drzwiami, obejrzał się, by sprawdzić, czy go widzą, i wszedł do środka. Naleśnikarnia była jasno oświetlona, przestronna i niezbyt zatłoczona. Usiedli przy stoliku w kącie, udając, że przychodzą tu od lat. Fox zastanawiał się często, czy to prawda, że gliniarze na całym świecie zachowują się tak samo. Lubił stoliki w kącie sali, bo widział stamtąd, co się dzieje i co może się wydarzyć. Naysmith jeszcze się tego nie nauczył i usiadł beztrosko tyłem do drzwi. Fox wcisnął się obok Kaye'a, powiódł wokoło wzrokiem i dostrzegł tylko pogrążone w rozmowie kobiety, których przybycie trzech nowych gości zupełnie nie zainteresowało. W milczeniu przejrzeli menu, złożyli zamówienie i pięć minut później nadeszła kelnerka z tacą.

— Wygląda pysznie. — Naysmith wziął nóż i zaczął smarować babeczkę niskokalorycznym masłem.

Fox przyniósł ze sobą teczkę.

— Żeby nie było wam za dobrze — powiedział, wykładając kartki na stolik. — Zanim herbata się ostudzi, odświeżycie trochę pamięć.

— Warto tak ryzykować? — spytał Tony Kaye.

— Ryzykować?

— Możesz zatłuścić masłem okładki. Scholes i reszta

zobaczą i wyjdziemy na ćwoków.

— Dzisiaj mam ochotę na odrobinę lekkomyślności — odparł Fox. — Zaryzykuję.

Kaye westchnął i zaczęli czytać.

Przyjechali do Fife z powodu niejakiego Paula Cartera. Detektyw posterunkowy Carter, lat trzydzieści osiem, od piętnastu lat w policji, pochodził z policyjnej rodziny: zarówno jego ojciec, jak i wuj służyli w okręgu Fife. I nagle wuj złożył skargę na swego bratanka, w dodatku jako pierwszy. Twierdził, że Paul jest narkomanem, że wymusza usługi seksualne i przymyka oko na ciemne sprawki. Zaraz po nim skargę złożyły dwie kobiety, które Carter aresztował za zakłócanie porządku publicznego w stanie upojenia alkoholowego, proponując, że odstąpi od zarzutów, jeśli będą mu „powolne".

— „Powolne"? — wymamrotał Kaye w połowie strony. — Czy ktoś jeszcze tak mówi?

— W sądach i gazetach — odparł Naysmith, strzepując okruszki z kartek.

Fox miał przed sobą wycinki z gazet. Były tam zdjęcia Paula Cartera wychodzącego z sądu po rozprawie, na której złożył zeznania. Ostrzyżony pod garnek, twarz pokryta dziobami po trądziku. Łypał spode łba na fotoreporterów.

Minęły cztery dni, odkąd uznano go za winnego i odkąd szeryf oświadczył, że koledzy detektywa posterunkowego Cartera „albo rozmyślnie postępują głupio, albo są rozmyślnie współwinni". Innymi słowy: od lat wiedzieli, że Carter jest złym gliniarzem, mimo to chronili go, kłamali, żeby go kryć, a może nawet próbowali fałszować zeznania świadków i wywierać presję na tych, którzy chcieli je złożyć.

Wszystko to razem sprowadziło do miasta funkcjonariuszy wydziału wewnętrznego, czyli ich. Władze okręgu Fife chciały poznać prawdę i aby uspokoić opinię publiczną (a przede wszystkim media) i zapewnić mieszkańców, że śledztwo będzie wnikliwe, poprosiły służby policyjne z sąsiedniego

okręgu, żeby to one się tym zajęły. Foxowi przekazano egzemplarz *Regulaminu zawieszania funkcjonariuszy w pełnieniu obowiązków służbowych*, egzemplarz *Procedur zawieszania funkcjonariuszy w pełnieniu obowiązków służbowych* oraz pisemny raport komendanta głównego wyjaśniający, dlaczego trzech policjantów, przeciwko którym toczy się śledztwo, wciąż pracuje — komendant uważał, że „leży to w interesie policji".

Fox wypił łyk herbaty i przewrócił kartkę. Niemal każde zdanie było podkreślone lub zakreślone. Na marginesach roiło się od pospiesznie nagryzmolonych pytań, odnośników i wykrzykników. Prawie cały raport znał na pamięć, mógłby zaraz wstać i wyrecytować go siedzącym w naleśnikarni gościom. Niewykluczone, że i tak już o tym plotkowali. W miasteczku tej wielkości każdy trzymał czyjąś stronę, każdy miał wyrobioną opinię. Carter był gnidą, szmatą i ostatnim łotrem. Albo wrobiła go rynsztokowa ćpunka i dwie tanie dziwki. Czy w tym, co zrobił, było coś złego? I w ogóle, co takiego zrobił?

Nic, nie licząc tego, że skompromitował policję.

— Przypomina mi się Colin Balfour — powiedział Tony Kaye. — Pamiętacie go?

Fox kiwnął głową. Colin Balfour, edynburski gliniarz, który lubił odwiedzać w celi zatrzymane na noc kobiety. Oskarżenie się załamało, ale po wewnętrznym śledztwie i tak wyrzucono go z policji.

— Ciekawe jest to, że Cartera sypnął jego własny wuj — zauważył Naysmith, sprowadzając ich do rzeczywistości.

— Ale dopiero po tym, jak przeszedł na emeryturę — dodał Fox.

— Wszystko jedno... Rodzina musiała być trochę wstrząśnięta.

— Może coś się za tym kryje — wtrącił Kaye. — Zła krew.

— Może — zgodził się z nim Naysmith.

Kaye klepnął ręką leżący przed nim plik kartek.

— Ale co z tego wszystkiego wynika? Ile dni będziemy tak kursować?

— Tyle, ile będzie trzeba. Może uda nam się załatwić to w parę tygodni.

Kaye przewrócił oczami.

— Tylko po to, żeby ci z Fife mogli powiedzieć, że mają jedno zgniłe jabłko, a nie całą fabrykę cydru?

— Cydr robi się w fabryce? — spytał Naysmith.

— A gdzie?

Fox się w to nie włączył, nie chciał zawracać sobie głowy. Znowu zastanawiał się nad główną postacią afery, czyli Paulem Carterem. Nie było sensu go przesłuchiwać, chociaż by mogli. Uznano go za winnego i przetrzymywano w areszcie, choć — jak na razie — bez wyroku. Szeryf wciąż „deliberował". Fox uważał, że Carter pójdzie siedzieć. Na parę lat, może wpiszą go również do Rejestru Przestępców Seksualnych. Ale niemal na pewno wysmaruje z adwokatem wniosek o apelację.

Tak, z adwokatem Carter chętnie by pogadał, ale nie z funkcjonariuszami wydziału wewnętrznego. Nic by nie zyskał, wydając kumpli z posterunku, tych, którzy przy nim stali. Fox nie mógł zaproponować mu żadnego układu. Mogło mu się tylko coś wypsnąć. Gdyby w ogóle zechciał z nimi rozmawiać.

A na pewno nie zechce.

Tak jak pozostali. Fox wątpił, czy będą mówić. A raczej, czy powiedzą coś wartego wysłuchania. Od dawna wiedzieli, że ten dzień nadejdzie. Scholes. Haldane. Michaelson. Szeryf wybrał ich, bo złożyli sprzeczne i poplątane zeznania, bo próbowali mącić i mieli dziwne zaniki pamięci. Ich bezpośredni przełożony, detektyw inspektor Laird, szef wydziału śledczego, uniknął krytyki, podobnie jak detektyw posterunkowy nazwiskiem Forrester.

— Forrester — rzucił nagle Kaye, przerywając sprzeczkę z Naysmithem. — Oto z kim powinniśmy porozmawiać.

— Dlaczego?

— Bo ma na imię Cheryl. A z wieloletniego doświadczenia wiem, że to kobieta.

— I co z tego?

— To, że jeśli jej kolega jest maniakiem seksualnym, na pewno się tego domyślała. Zaczynają krążyć plotki, faceci zwierają szyki... Ona musi coś wiedzieć. — Kaye wstał. — Ktoś chętny na dolewkę?

— Zaczekaj, najpierw coś sprawdzę. — Fox wyjął telefon i odszukał numer posterunku. — Może Scholes wrócił już z przejażdżki. — Wybrał numer i przytknął komórkę do ucha, a Kaye przesunął palcem po tyle głowy Naysmitha, proponując, że go ostrzyże.

— Halo? — Głos jakiejś kobiety.

— Z inspektorem Scholesem poproszę.

— Kto mówi?

Fox rozejrzał się po sali.

— Dzwonię z naleśnikarni. Inspektor był tu i chyba coś zostawił.

— Chwileczkę, już go daję.

— Dziękuję. — Fox rozłączył się i zaczął zbierać papiery.

— Ładnie rozegrane — pochwalił go Kaye. Spojrzał na Naysmitha. — Wkładaj kurteczkę, Joe. Wiertarka czeka.

2

Detektyw inspektor Ray Scholes przeczesał ręką krótkie czarne włosy. Siedział w jedynym na posterunku pokoju przesłuchań. Fox proponował mu spotkanie w dowolnym, wybranym przez niego miejscu, pod warunkiem że będzie tam stół i cztery krzesła.

— I gniazdko — dodał Joe Naysmith.

Bez gniazdka nie miałby gdzie wetknąć „złodziejki". Ustawił już kamerę i właśnie podłączał magnetofon. Były dwa mikrofony, jeden na stole przed Scholesem, drugi między Foxem i Kaye'em. Kaye siedział z założonymi rękami i nachmurzonym czołem. Powiedział już Scholesowi, co myśli o jego małym podstępie.

— Oficjalna sprawa służbowa to nie „podstęp" — odwarknął inspektor. — Ale to prawie na pewno czysta strata czasu.

— Tylko „prawie"? — Fox rozłożył papiery.

— Gotowe — rzucił Naysmith.

— Możemy zaczynać?

Scholes kiwnął głową i w tym samym momencie zapiszczał telefon. Inspektor odebrał, przedstawiając się jako „Ray Scholes, wróg publiczny numer jeden". Wyglądało na to, że dzwoni jego dziewczyna; prosiła, żeby kupił coś na kolację.

Ale wiedziała o gościach z wewnętrznego.

— Tak, są tu — mówił przeciągle Scholes, patrząc na Foxa.

Fox przeciągnął palcem po gardle, ale inspektor się nie spieszył. Kiedy wreszcie skończył rozmawiać, Fox poprosił go o wyłączenie komórki. Scholes pokręcił głową.

— Może wyskoczyć coś ważnego, nigdy nie wiadomo.

— Kiedy zadzwoni znowu? — spytał Fox. — Będzie dzwoniła tylko ona, czy zaangażował pan i kolegów? — Spojrzał na Kaye'a. — Co ile zwykle dzwonią? Co pięć minut czy dziesięć?

— Co dziesięć — odparł zdecydowanie Tony.

Fox przeniósł wzrok z powrotem na Scholesa.

— Wątpię, czy wymyśli pan coś, czego nie próbowano z nami co najmniej sto razy. Może więc lepiej od razu to wyłączyć?

Scholes uśmiechnął się lekko i wyłączył komórkę, a Fox podziękował mu skinieniem głowy.

— Czy według pana detektyw posterunkowy Carter był dobrym policjantem?

— Wciąż jest.

— Obaj dobrze wiemy, że już nie wróci.

— Dlaczego wy tak bardzo nie lubicie gliniarzy?

Fox przyjrzał mu się uważniej. Scholes miał trzydzieści kilka lat, ale wyglądał młodziej. Upstrzona piegami twarz, mlecznoniebieskie oczy — Foxowi przypomniało się nagle coś dziwnego: duża torebka szklanych kulek, które miał jako dziecko. Jego ulubioną była mlecznoniebieska, która ujawniała swoje wady tylko wtedy, kiedy patrzyło się na nią, obracając ją powoli między palcami...

— Bardzo oryginalne pytanie — zauważył Tony. — Wątpię, czy zadają je nam więcej niż kilkadziesiąt razy miesięcznie.

— Po prostu nie rozumiem, dlaczego chcecie ukarać wszystkich, którzy pracowali z Paulem.

— Nie wszystkich — poprawił go Fox. — Tylko tych, o których wspomniał szeryf.

— Nazywa go pan szeryfem? — prychnął inspektor. — Spytajcie, kogo chcecie, pierwszego z brzegu gliniarza: to jego powinniście zapudłować. W ilu sprawach robił wszystko, żeby tylko podstawić nogę oskarżonemu...

— Zawsze się taki znajdzie — zgodził się z nim Kaye.

— Czy między szeryfem Cardonaldem i detektywem posterunkowym Carterem były jakieś niesnaski?

— Owszem, były.

— A między sędzią i panem? — Fox czekał, ale odpowiedź nie padła. — Twierdzi pan, że szeryf Cardonald wybrał tych funkcjonariuszy, bo żywił do nich urazę?

— Bez komentarza.

— Skargę na Paula Cartera złożono prawie rok temu, prawda? Jego własny wuj przyznał, że Carter molestował kobietę. Sprawę zbadano i... — Fox udał, że szuka odpowiedniej kartki.

— I nic z tego nie wyszło — dokończył za niego Scholes.

— Nie od razu, to prawda, ale potem Teresa Collins uznała, że ma dosyć... — Fox zrobił pauzę. — Zna pan jego wuja?

— Był policjantem.

— Rozumiem, że go pan zna. Jak pan myśli, dlaczego złożył doniesienie?

Scholes wzruszył ramionami.

— Znowu jakieś urazy? A te trzy kobiety, ta pierwsza i te, które poszły do sądu po niej, one też żywiły do niego jakąś urazę? Dużo tego, jak na pańskiego przyjaciela, „dobrego gliniarza" Paula Cartera. — Fox odchylił się do tyłu, udając, że zainteresowało go kilka kartek z teczki.

Na biurku leżały wycinki z gazet i Scholes dobrze je widział. Kaye i Naysmith wiedzieli, że milczenie bywa przydatne i że Foxowi bynajmniej nie zabrakło pytań.

Naysmith zaczął sprawdzać sprzęt. Kaye przyglądał się swojemu zegarkowi.

— Przystawki się skończyły? — spytał w końcu Scholes. — Przechodzimy do mięska i warzywek?

— Do mięska i warzywek?

— Tak, spróbujecie mnie teraz pogrążyć jak Cartera. Powiecie, że w sądzie kłamałem, że zastraszałem świadków...

— Teresa Collins zeznała, że był pan w samochodzie razem z Carterem, kiedy ten zatrzymał się przy niej i zapowiedział, że wieczorem wpadnie do niej na seks.

— Nieprawda.

— Że kiedy złożyła doniesienie, zadzwonił pan do niej i próbował nakłonić ją do wycofania zeznań.

— Nie.

— Pański numer był w jej telefonie. Z datą, godziną i czasem trwania rozmowy.

— Powtórzę to, co mówiłem w sądzie: to była pomyłka. Ile trwała ta rozmowa?

— Osiemnaście sekund.

— Właśnie. Kiedy okazało się, że to pomyłka, od razu się rozłączyłem.

— Po co był panu jej numer?

— Znalazłem go na karteczce na którymś z biurek.

— Zaciekawiło to pana i postanowił pan zadzwonić?

— Otóż to.

Tony Kaye powoli pokręcił głową, dając do zrozumienia, że mu nie wierzy.

— A więc zaprzecza pan, że kazał jej... — Fox znowu zajrzał do notatek — „się odpierdolić”?

— Zaprzeczam.

— Widywał się pan z Carterem poza służbą?

— Czasem chodziliśmy na piwo.

— Do klubów też... W Edynburgu i Glasgow.

— To żadna tajemnica.

— Fakt. Wszystko wyszło na rozprawie.

Scholes głośno prychnął.

— Gliniarze trzymają się razem i chodzą czasem na drinka, wielkie mi co.

— Carter był detektywem posterunkowym, pan jest detektywem inspektorem.

— I co z tego?

— To, że ani razu nie dostał awansu. Pracował w policji tyle, co pan, a był najniższy stopniem.

— Nie każdy chce awansować.

— I nie każdy na to zasługuje — odparł Fox. — Paul Carter nie chciał, czy nie zasługiwał?

Scholes już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, gdy nagle otworzyły się drzwi. W progu stała kobieta w mundurze.

— Przepraszam, że przerywam — powiedziała, chociaż nic nie wskazywało na to, że jest jej przykro. — Pomyślałam, że wpadnę się przywitać. — Zobaczyła, że Naysmith wyłącza kamerę i magnetofon. Wyciągnęła rękę przez biurko i przedstawiła się: inspektor Isabel Pitkethly.

Fox wstał, aczkolwiek niechętnie, i wyciągnął swoją rękę.

— Inspektor Malcolm Fox.

— Wszystko w porządku? — Pitkethly rozejrzała się po pokoju. — Niczego wam nie brakuje?

— Nie, jakoś sobie radzimy.

Była prawie trzydzieści centymetrów niższa od Foxa, ale miała chyba tyle samo lat, czterdzieści kilka, sięgające kołnierzyka brązowe włosy i niebieskie oczy, błyszczące za okularami. Była w regulaminowej białej bluzce z pagonami. I w ciemnej spódnicy przed kolana.

— Ray jest grzeczny? — Roześmiała się nerwowo i Fox zauważył, że ostatnie tygodnie odcisnęły na niej wyraźne piętno. Myślała pewnie, że jest kapitanem solidnego statku, tymczasem statek ten pękał od środka.

— Dopiero co zaczęliśmy — odparł Kaye, nie próbując

nawet ukryć, że przerwa im nie w smak.

— Zabawne — skontrował Scholes — myślałem, że jesteśmy już przy serze i krakersach.

— Niestety, za pięć minut inspektor Scholes ma spotkanie — powiedziała Pitkethly. — Prokurator przygotowuje jakąś sprawę...

Scholes nie tracił czasu i szybko wstał.

— Panowie, było przemiło.

— Kiedy będziemy mogli z nim porozmawiać? — spytał Fox.

— Myślę, że dopiero po południu.

— Chyba że prokurator przedłuży spotkanie. — Scholes włączył komórkę i spojrzał na ekran.

— Kilka nieodebranych połączeń? — rzucił Fox.

Inspektor zerknął na niego z uśmiechem.

— Jak się pan domyślił?

Wyglądało na to, że Pitkethly też się nad tym zastanawia.

— Inspektorze, mogę prosić pana na słowo?

— Właśnie miałem to pani zaproponować — odparł Fox.

Chwilę później Kaye i Naysmith zostali w pokoju sami.

— Spakować to? — spytał Naysmith z ręką na trójnogu kamery.

— Lepiej spakuj. Scholes skrzyknie kumpli, przyjdą tu i wysmarują wszystko fiutami.

. . .

— Niech pan siada — rzuciła zza biurka.

Fox nie usiadł. Biurko było puste. Pod kątem prostym stało przy nim drugie z komputerem i wypełnioną po brzegi tacką na dokumenty. Okno wychodziło na parking. Na parapecie nie było żadnych bibelotów ani zdjęć bliskich. Ściany też były nagie, nie licząc kalendarza i znaku zakazu palenia.

— Od dawna w Kirkcaldy?

— Od kilku miesięcy.

— A przedtem?

Widział, że jest zdenerwowana, bo jakimś cudem to on zadawał pytania. Ale grzeczność wymagała odpowiedzi.

— W Glenrothes.

— W komendzie głównej?

— Nie szybciej by było, gdyby zajrzał pan do moich akt?

Fox przepraszająco podniósł ręce i gdy ruchem głowy wskazała mu krzesło, tym razem postanowił nie odmawiać.

— Przepraszam, że się spóźniłam. Miałam nadzieję odbyć tę rozmowę, zanim zaczniecie...

Brzmiało to jak przygotowane przemówienie i tak najpewniej było. Pitkethly miała pewnie znajomych na komendzie i pojechała do nich po radę, jak gadać z tymi ze Skarg. Fox mógłby napisać dla niej skrypt. W większości spraw, które prowadził, było tak, że ktoś z szefostwa wzywał go do gabinetu i mówił mu zawsze to samo.

Mamy tu dobry zespół.

Praca czeka.

Odrywanie ludzi od obowiązków nie leży w niczyim interesie.

Oczywiście nikt z nas nie chce się wybielać.

Ale...

— Tak więc jeśli chciał pan czymś się ze mną podzielić... — Miała czerwone policzki. Musiała się ucieszyć, kiedy dostała awans i kiedy zaproponowano jej pierwszy w życiu posterunek. A tu nagle to.

Powiedziano jej, co ma mówić, ale nie miała czasu na próbę. Urwała i odchrząknęła, mało brakowało, a dostałaby ataku kaszlu. Podobała mu się ta niezdarność. Zdał sobie sprawę, że być może nie pojechała do Glenrothes po radę, tylko że ją tam wezwano.

„Powie mu pani tak, pani inspektor...”.

— Może przyniosę coś do picia? — zaproponował. — Trochę wody? — Ale tylko machnęła ręką. Nachylił się w jej

stronę. — Nie wiem, czy to pani pomoże, ale postaramy się załatwić to dyskretnie. I szybko. Co nie znaczy, że pójdziemy na skróty: obiecuję, że będziemy dokładni. I że nic pani nie zdradzimy. Raport trafi bezpośrednio do komendanta głównego. Tylko od niego zależy, co z nim zrobi.

Pitkethly zdołała się uspokoić. Patrzyła mu w oczy i kiwała głową.

— Nie chcemy tu żadnego zamieszania — ciągnął. On też wygłaszał tę przemowę wiele razy, w takich pokojach jak ten. — Szukamy tylko prawdy. Chcemy sprawdzić, czy przestrzegano procedur i czy nikt nie stawia się ponad prawem. Gdyby zechciała pani powtórzyć to podwładnym, byłoby wspaniale. A jeszcze wspanialej, gdyby znalazł się dla nas jakiś pokój. Musi być zamykany i chciałbym dostać wszystkie klucze. Myślę, że za... tydzień będzie miała pani nas z głowy.

Uznał, że o dwóch lepiej nie wspominać.

— Za tydzień... — powtórzyła.

Trudno było powiedzieć, czy jest to dla niej dobra wiadomość, czy zła.

— Powiedziano mi rano, że detektyw sierżant Haldane jest na zwolnieniu lekarskim.

— Ma grypę — potwierdziła.

— Grypa, porażenie mózgowe czy czarna ospa, musimy go przesłuchać.

Znowu kiwnęła głową.

— Dopilnuję, żeby się dowiedział.

— I przydałoby się nam trochę wiedzy miejscowej, na przykład gdzie moglibyśmy zjeść porządny lunch albo kanapkę. Ale nie tam, gdzie jadają pani ludzie.

— Będę musiała pomyśleć. — Pitkethly wstała, dając mu do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

Fox nie wstał.

— Nigdy nie miała pani żadnych przeczuć co do Cartera?

Chwilę trwało, zanim zdecydowała, czy odpowiedzieć, wreszcie pokręciła głową.

— A inne pracujące tu kobiety? — drążył.

— Ale co?

— Wie pani, plotki w toalecie, ostrzeżenia przed wszędobylskimi rękami...

— Nie.

— Żadnych wątpliwości? Nigdy?

— Nigdy — odparła zdecydowanie, podchodząc do drzwi i otwierając je.

Fox się nie spieszył i minął ją z uśmiechem. Kaye i Naysmith czekali na końcu korytarza.

— No i? — spytał Kaye.

— Tak jak się spodziewałem.

— Michaelson może tu być. Bierzemy go?

Fox pokręcił głową.

— Wracajmy do miasta, zjedzmy coś i pokręćmy się trochę.

— Żeby wczuć się w atmosferę?

— Żeby wczuć się w atmosferę.